Ner. 3. Kraków 13 października 1866. Rok I.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c.— *Prenumerata zagraniczna* bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c. *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a.
Nuty rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.
W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ulica żydowska, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiém.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

II.

Ludzie z lasu.

(Ciąg dalszy.)

Tego samego wieczora w mieście powiatowém, leżącém o półtory mili od miejsca w pierwszym rozdziale opisanego, obchodzono także imieniny w domu burmistrza. Solenizant był typem zmoskwiczonego Polaka — olbrzymia masa cielska ujęta w mundur, twarz ospowata ogolona, na któréj obok przybranéj powagi, wypisana była bezczelna podłość. Burmistrz o dwie tylko rzeczy ubiegał się w życiu: o łaski carskie i o dobre wino. Pierwszych ślad nosił na swoich piersiach, drugiego na fioletowym nabrzękłym nosie. Rozumie się, że w domu takiego człowieka tylko moralne karykatury miasta znajdować się mogły. Ciekawą była ta kollekcyja małomiejskich elegantek w kwiecistych sukniach, objuczonych kosztownościami dobytemi świeżo z pudełek, tych piszczyków i niższych urzędników zginających się służbiście wobec dam i burmistrza. Jedna tylko osoba uderzy nas wśród tych gości. Jest nią młoda kobieta w żałobie. Twarz jéj blada, profilem przypominała egipskie płaskorzeźby — w wązkich cierpko zaciśniętych ustach i w lekkim zmarszczku, co się cieniował czasem między brwiami, znać było energią prawie męską, którą łagodził smętny wyraz jéj spojrzenia. Bujne, czarne włosy okalające twarz bladą, miały coś pogrzebowego w sobie. Kobieta ta siedząc przy oknie, zdawała się nieuważać na resztę towarzystwa, niedbać o nie, niekiedy tylko wzrok jéj zwracał się w drugą stronę pokoju w lustro, w którém odbijały się osoby siedzące po téj samej stronie co ona; pomiędzy tymi osobami twarz jakiegoś młodego mężczyzny zwrócona była bezprzestannie w stronę lustra — tam ich spojrzenia krzyżowały się: jego było błagalne, nieśmiałe — jéj trochę ponure a spokojne. Chwilę trwała ta ócz rozmowa — potém kobieta zwróciła się ku oknu i patrzała czas niejaki na ulicę. Gdy się odwróciła, młodzieniec stał przed nią.

— Kogo pani tak wygląda? —

— Ja? — Nikogo.

Rozmowa się urwała, — młodzieniec spuścił oczy, kobieta przenikliwe na nim zatrzymała spojrzenie, — on widocznie wahał się z nowém zapytaniem. —

— Panno Konstancyo — spytał wreszcie — czy to prawda że...

— No, mówże pan —

— Że kapitan Kryłow ma dziś prosić opiekuna o pani rękę? —

Skrzywiła usta w cierpki uśmiech. —

— Niewiem — być może.

Młodzieniec ruszył się niespokojnie —

— I pani...

— Cóż?

— Pani byś przystała?

— Niewiem jeszcze —

— Jakto? Pani byś się zgodziła iść za moskala? —

wybuchnął młodzieniec na pół z trwogą, na pół z oburzeniem.

Konstancya wsparła głowę na ręce i mówiła z gorzkim uśmiechem:

— Czemu nie? Jeżeli być zależną od mężczyzny — to lepiéj przecie od pana niż niewolnika? Jeżeli powierzyć przyszłość i siebie — to takiemu, na którego pomoc i siłę liczyć można. Ale iść do ołtarza i wiedzieć, że ten, który nam ślubuje opiekę jest bezsilny, że nas nie może zasłonić przed obelgą lada żołdaka moskiewskiego, zostać żoną niewolnika — to okropnie!

Ostatnie słowa mówiła żywo, namiętnie — gorączkowy rumieniec zfarbował jéj bladą twarz.

— Pani jesteś bez litości dla zwyciężonych. —

— Dla zwyciężonych? — Ja walki nie widzę. — Jedyną walką waszą słowa, poeci jęczą jak dziady, że źle — a w chwili czynu schwycą naród za poły i zawołają z trwogą: nie czas. Zamiast téj trzody poetów, wolałabym jednego człowieka dzielnego.

— Dziwnie brzmią takie słowa w ustach kobiety.—

— Bo też i życie moje nie poszło zwykłą drogą kobiety.

W ósmym roku życia musiałam już uciekać z ojcem z kraju — los nas rzucał jak wiatr śmieci: w Berlinie jako kwiaciarka, w Strasburgu jako szwaczka, w Paryżu jako wyrobnica przy mularzach pracowałam na siebie i na ojca. O! patrz pan, te ręce pamiętają dobrze przeszłość moją; te chwile, w których rozpacz i trwoga mnie brały, zkąd wziąść na zapłacenie komornego, na opał, na życie. Wśród ludzi obcych takie chwile, takie troski — to piekło.

— A ojciec? — przecież on...

— Ojciec w rok po wyjeździe z kraju dostał obłąkania. Wyrzuty, że porzucił wspólników spisku i uciekł, dręczyły go, truły, a w końcu pomieszały mu zmysły. Nie chciałam go oddać do szpitala — byłam sama jego dozorcą — nieraz w gwałtownych napadach szaleństwa musiałam się mocować z nim, córka z ojcem — pojmujesz pan? — O! takie chwile mogą przenaturzyć kobietę. Trzynaście lat tak przeżyłam wśród szamotania się z nędzą, ze złymi ludźmi. W końcu ojciec począł napierać się o powrót do kraju — z każdym dniem ta chęć jego w gwałtowniejszych okazywała się sposobach, tak, że niepodobna było dłużéj sprzeciwiać się. Dla obłąkanego łatwo wyrobiono amnestyą; wuj po wielu prośbach zgodził się dać mu chleb łaskawy, i wróciliśmy. Pamiętam ten dzień — stanęliśmy w Warszawie rok temu — 15 października. W kościołach obchodzono rocznicę śmierci Kościuszki. I czy pan wiesz jakie mnie tu czekało przywitanie? — Uściski pijanych rozbestwionych żołdaków moskiewskich i pocałunek, co mi twarz skalał.

Zakryła dłoniami twarz rumianą od wstydu.

— I nikt, nikt dotąd nie pomścił hańby tylu znieważonych niewiast — ha! niewolnicy! —

Po chwili odchyliła rękę i patrząc na Augusta wzrokiem na pół dzikim, nieprzytomnym, rozgorączkowanym, spytała:

— A teraz, będziesz się pan dziwił dla czego taką jestem? —

Nagle zmieniła głos i wyraz twarzy — roześmiała się nieszczerze, cierpko i rzekła pokazując na drzwi:

— O! mój narzeczony. —

We drzwiach stał kapitan Kryłow w zielonym mundurze piechoty, giętki, zgrabny, wysmukły jak kozak — twarz miał śniadą, wcale piękną, z czarnym wąsikiem — w oczach szelmowski uśmiech — w ruchach dzikość i niby elegancyja — ten człowiek z równą przyjemnością szedłby wieszać i tańczyć. Gospodarz wybiegł skwapliwie na jego przywitanie. Kapitan przywitał gości — lecz choć się im grzecznie kłaniał, szyderskim uśmiechem oczów drwił z nich i lekceważył.

Po niejakim czasie zbliżył się do Konstancyi. —

— A! pani znowu w żałobie? Pani chce gwałtem do aresztu? — mówił. —

Konstancya przygryzła wargi. —

— No, ale ja pani nie wsadzę, bo taka ładna buzia nie na chowanie, ale na smatrenije.

To miał być komplement — Kryłow był rad z niego.

Konstancya udała że nie słyszy — oczami błąkała się po sali, po gościach — wzrok jéj spotkał się ze wzrokiem Augusta, który naprzeciw niéj stał i bacznie śledził rozmawiających. Spuściła oczy.

— Wiesz pani — mówił siadając przy niéj — ja panią tak kocham, że gdyby pani przyszła ochota w puszku mnie dat' — to ja nie wiem, czybym pani za to jeszcze nie pocałował.

— Wyznanie wcale ponętne — rzekła drwiąco Konstancyja — niech pan kapitan go nie powtarza dwa razy. —

— Jej Boh tak prawdę mówił — ciągnął zapalając się kapitan — bo ja was oczen lublu. Wy wiecie, że ja dziś proszę o waszą rękę? —

Konstancya drgnęła jak kwiat, gdy pod nim gad się przesunie.

— I cóż wy na to? Panno Konstan... — biorąc ją za rękę.

Odepchnęła jego rękę ze wzgardą i ... pozór głosem spokojnym:

— Pan dużo nazabijałeś naszych, panie kapitanie?

Kryłow zerwał się wściekły.

— A! panna się bawisz w patryjotkę — rozumiem! i zaklął. — Więc pani dajesz mi do zrozumienia, że nie pójdziesz za tego, który miateżników karał? Co?—

— Sam sobie odpowiadasz kapitanie.

Górowała nad nim spokojem — to go jeszcze bardziéj roznamiętniało.

— Ja was zmuszę, przysięgam Bogu że zmuszę — mówił tłukąc gwałtownie pięścią o ramy okna. — Panno Konstancyjo, wy mnie nie drażnijcie — wy nie znacie jaki pies ze mnie, gdy się rozjuszę. Idę teraz do wuja — pamiętajcie — com powiedział.

To mówiąc wstał i szukał oczami burmistrza. W téj chwili we drzwiach stanął żandarm w niebieskim mundurze, z rewolwerem przy pasie, wyprostowany jak pion. Chciał mówić z kapitanem. Kryłow postąpił ku niemu.

— A szto? —

Żandarm coś szepnął mu pocichu, Kryłow uśmiechnął się dziko, pożądliwie, wziął czapkę i wyszedł z żandarmem.

Konstancya pochwyciła ten uśmiech i niepokój ją ogarnął — coś złego się stanie, gdy Kryłow się uśmiechał. Siedziała więc przy oknie i oczekiwała co będzie. Księżyc jasno oświecał pustą ulicę. Niezadługo coś zatętniło. Dwaj kozacy schyleni z stérczącemi pikami wysunęli się z za kościoła na małych, nędznych koniach — za nimi bryczka, na któréj siedziało kilku ludzi. Gdy przejeżdżali koło okien burmistrza, patrząca poznała w nich żandarmów. — Na ostatku jechał jeszcze ktoś — zapewne Kryłow.

Za domem burmistrza szeroka ulica rozdzielała się na dwie drogi, jedna prowadziła na lewo ku najbliższéj stacyi kolei żelaznéj — druga na prawo ciągnęła się między lasami. Konstancya przestała oddychać, czekała z drżeniem, w którą stronę się obrócą. Skręcili na prawo. Zerwała się gwałtownie, przeszła salę pomięszana, blada, mijając Augusta, szepnęła mu: chodź pan za mną — i wyszła. — Po chwili August wyszedł także do sieni — rzuciła się ku niemu:

— Na Boga panie Auguście idź, ratuj ich, przestrzeż ich!

— Kogo? —

— Kogo? Prawda. Jaka ja szalona, co mówię? Nikogo. Ale idź drogą na prawo ku Zawodzie — tamtędy pojechał Kryłow — jadą kogoś aresztować, idź, leć, uprzedź ich. Może na gościeńcu koło lasu spotkasz kogo — mów im niech się strzegą. Spiesz pan przez łąki, bo droga o wiele krótsza — uprzedzisz ich.

Prosiła i mówiła bezładnie, nieprzytomnie, z pospiechem, który jéj głos tamował. — August nie wiele z tego zrozumiał — domyślał się tylko, że tu czasu niema do stracenia — uścisnął rękę Konstancyi i pobiegł.

Na drodze słychać było jeszcze tentent galopujących koni — drogą jednak jadący taki kawał okrążać musieli, że August był pewnym, że ich uprzedzi. Ale gdzie, u kogo ma ich uprzedzić? — Znowu nie umiał na to sobie odpowiedzieć, a czasu nie było na rozmyślanie. Pobiegł więc na chybił trafił.

Za mostem skręcił od drogi na ścieszkę przez łąki — potém wpadł między zarośla — biegł co tchu, by pierwéj od kozaków stanąć w tém miejscu, gdzie ścieszka wraca napowrót do gościeńca — bo inaczéj wyprzedzenie ich byłoby już potém niepodobném. Zdyszany, zmęczony dobiegł już końca zarośli. — Miał jeszcze przejść kawał lasu — obejść stawy i byłby już u mety. U wejścia do lasu zatrzymał się chwilkę, nasłuchiwał i obejrzał się — kozaków nie było jeszcze widać koło figury. To mu dodało sił i nadziei, przyspiesznym krokiem wszedł w las. Nie długo potém zarysował cień człowieka nad stawami. Nie był to jednak August. Człowiek, który sunął ku gościeńcowi, był o wiele wyższym, atletycznéj budowy ciała, miał na sobie zczerniałą koszulę z grubego płótna, takież spodnie i skórzany fartuch. Ledwie doszedł do gościeńca, kozacy pokazali się niedaleko, zsunął się więc szybko w rów, poszedł nim parę kroków i schował się pod most, prowadzący przez potoczek. — W kilka minut potém zadudniały kopyta po moście, za niemi zaturkotała jedna, druga bryczka i popędziły cwałem daléj. — Koło kuźni skręciły ku dworowi. — Człowiek ów wychylił się, patrzał chwilę za jadącymi — potém rzucił się w bok gościeńca, ale w przeciwną stronę od téj, którą przyszedł, i drapał się z pospiechem w górę ku ogrodowi dworskiemu, przeskoczył płot i biegnąc chyłkiem koło krzaków, doszedł do okien.

Było to właśnie w téj chwili, gdy syberyjczyk i jego brat poznawszy się, stali naprzeciw się — osłupiali jeden z gniewu, drugi z przerażenia — jeden krwawy jak karbunkuł, drugi blady i drżący. — Wśród téj sceny drzwi się otwarły i w nich pojawił się kapitan Kryłow i żandarmy.

(Ciąg d. nast.)

Do mojéj matki.

(Z HAJNEGO.)

Dziki to szał był, gdy cię opuściłem
Matko! — Po świecie po całym chodziłem
Szukać miłości — zobaczyć gdzie ona,
I miłość miłośnie objąć w me ramiona.

I po ulicach miłości szukałem —
U drzwi jak żebrak ręce wyciągałem
Żebrząc o serce takie, które kocha...
Nienawiść dali mi i śmiechu trocha. —

I wciąż chodziłem, wciąż szukałem przecie —
I nie znalazłem miłości na świecie —
Wróciłem chory — smutek w oczach miałem —
Lecz tyś naprzeciw wyszła matko miła,
A łza, co drżąca w twych oczach świeciła —
To była miłość, któréj tak szukałem.

STANISŁAW MONIUSZKO
w świecie muzycznym.

przez *St. Dunieckiego.*

(Ciąg dalszy.)

Muzyka polska jest jeszcze tak młodą, że o jéj historyi zaledwie mówić można. Ponieważ jednak Moniuszko oparł się o niedawne jéj tradycyje, wypada nam powiedzieć kilka słów o jéj zawiązku. Gdy za Stanisława Augusta teatr polski nieśmiało rozwijać się zaczął, pomyślano też dla urozmaicenia o operze i balecie; o utworach narodowych nie było jednak mowy, gdyż przedstawiane oryginalne komedyje stały dopiero na pierwszym stopniu rozwoju; sprowadzono więc operę włoską, która wywierając wpływ przeważny na gust publiczności, o mało że nie przytłumiła pierwszych zawiązków sceny narodowéj. Postrzegł to dobrze ku końcowi XVIII. wieku Bogusławski, a niemogąc i niechcąc może stłumić opery, starał się przynajmniéj stanowczo oddalić cudzoziemców, przełożył mnóstwo oper na język polski i zawiązał pierwsze towarzystwo śpiewaków polskich. Nie mówimy tu o niektórych dawniejszych niefortunnych próbach polskich libretów, do których teraz ani student klas normalnych nieprzyznałby się, cytujemy tu dla ciekawości dwuwiersz, poczynający aryję w jednéj z nich:

FILON.

Boście są lube jagnięta
Szczęśliwsze jak ja zwierzęta.

Taki ckliwy styl sielankowy zdawał się wówczas koniecznym do wszystkich utworów pod muzykę.

Stworzywszy operę śpiewaną po polsku, Bogusławski nieprzestał na tém. Jego jeniuszowi winniśmy pierwszą prawdziwie narodową operę: „Cud czyli Krakowiacy i Górale". Dziwném przeczuciem umiał Bogusławski uderzyć właśnie w tę strunę, która przejęła wskróś kochających swą ojczyznę słuchaczy. Nie małą w tém zasługę położył kompozytor „Krakowiaków" Stefani, muzyka jego bez ckliwéj przesady (podówczas panującego smaku) starała się utrzymać w formach znanych Mozartowskiej opery; nuty narodowe, czerpane poczęści z pieśni ludowych, poczęści z własnego natchnienia. Partycyja Stefaniego to pierwsza nieśmiała próba, a jednak już widać w niéj, że ta muzyka polska, ludowa, ma wielką przyszłość. Uroczy duecik „Kochanków" dotąd czaruje nas rzewną swą prostą nutą. Chór „Górali", finał pierwszego aktu, pieśni „Studenta", — wszystko to kompozycyje mające prawdziwą wartość, a jeżeli grzeszą może zbytnią prostotą i naiwnością, to musimy zważać na to, że Stefani musiał się zastósować do bardzo ograniczonych sił wykonywujących operę. Śmiało na każdy sposób wyrzec możemy: że Stefani i Bogusławski położyli kamień węgielny muzyki dramatycznéj w Polsce. Wkrótce po Stefanim ukazał się Kurpiński. Dzięki staraniom wiecznie zasłużonego Bogusławskiego, znalazł on już pole otwarte, pierwsze trudności zwalczone, jedna przeciwność, krępująca Kurpińskiego, był smak publiczności, która przyjąwszy wprawdzie z entuzyjazmem „Krakowiaków" Stefaniego, zwróciła się znów ku sielankom, pasterzom, pasterkom itp.

To też pisał im Kurpiński: „Pieśni o Filonie" bez wartości, a które przecież z uniesieniem śpiewane były po salonach całéj Warszawy. Jeniusz Kurpińskiego niemógł jednak ograniczyć się na tém, napisał kilka oper, naśladując poczęści Mozarta, poczęści Rossiniego, ale włożywszy w każdą z nich cząstkę swéj własnéj indywidualności; parę z tych oper, mianowicie: „Laska Imperatora", Bojomir i Wanda" są nawet pełne oryginalnych i pięknych myśli. Rzecz szczególna, że ta sama myśl, która już Stefaniego tak szczęśliwie natchnęła, stała się i dla Kurpińskiego motorem do napisania arcydzieła — a mówiąc nawiasem — arcydzieła w swym rodzaju dotąd nieprzewyższonego: „Zabobon czyli Krakowiacy i Górale", żyją już przeszło lat trzydzieści i długo żyć będą, a jak długo polska scena istnieć będzie, zawsze z rozkoszą słuchać będziemy téj muzyki pełnéj prostoty z jednéj, a prawdziwéj sztuki z drugiéj strony — tych śpiewów polskich naszych. Zasługuje „Zabobon", byśmy się bliżéj mu przypatrzyli.

Rzadkie są w sztuce wypadki, ażeby dwa na tém samém tle osnute utwory, równą i oryginalną zachowały wartość. W „Zabobonie" zaś tak poeta jak kompozytor o wiele autorów „Cudu" przewyższyli. Nad pięknościami libretta rozwodzić się nie będziemy, dawno ono już właściwe uzyskało uznanie. Powiedzmy jednak, że muzyka Kurpińskiego dotąd należycie ocenioną nie została. Przejdźmy cały układ opery: zaraz uwertura uderzy nas świeżością swoich motywów, przystępną prostotą, a w któréj muzyk odkryje mnogie piękności techniczne i formy prawdziwie klasyczne; fugato rozpoczynające drugą jéj część (nad którém dotąd nikt się nie zastanowił) zachwyca tajemniczym swym motywem i potęguje w sposób nader oryginalny aż do silnéj *stretty* końcowéj — Radzimy naszym pięknym czytelniczkom przy przyszłém przedstawieniu „Krakowiaków" słuchać jéj z uwagą i niezapełniać czasu jéj trwania rozmowami lub poprawą toalety — niezawodnie wsłuchawszy się w prześliczną tę uwerturę, podziękują nam za radę. Pierwszy duet i chór introdukcyjny wprowadza nas odrazu w nasze życie sielskie, już to swemi melodyjami, już instrumentacyą, którą Kurpiński jakkolwiek używając tylko jak najprostszych środków w „Krakowiakach", po mistrzowsku prowadzi. Cóż to za prześliczny motyw, jaka piękna i pełna harmonia w następnym duecie Bryndusa i Basi, jak ślicznie ma-

luje kompozytor to proste oburzenie niewinnéj dziewczyny przy słowach:

Niezaczynaj wojny, niech cię nie dmie pycha...

Temat następującego chóru Górali jest tak oryginalny, tak żywy, żeby pewno Offenbach znalazł go dość *piquant* do swoich najlepszych operetek. Któż nie zna, kto nie ocenił aryi „Studenta“ — dawno ona stała się pieśnią ludową! Perłą jednak tego aktu, jest chór pożegnania — chór, który wiecznie świeży, każdą razą entuzyazmuje całą publiczność.

Melodyjny duet kochanków — to prawdziwa sielanka bez przesady, bez ckliwości, rzewna a tak prawdziwa; przytém jest to jeden z najbardziéj wypracowanych numerów, prawdziwe arcydzieło w prowadzeniu głosów; akt pierwszy kończy się silnym, energicznym chórem, zwanym „pogoni“.

Z drugiego wyjmujemy naprzód śliczne *ensemble* przy wprowadzeniu Basi, a mianowicie wstęp:

„dokądże mnie prowadzicie“ itd

i drugą aryję studenta (G-moll) z oryginalnym akompaniamentem skrzypcowym, którego ruch nieustanny trafnie cechuje kłótnią i niepokój.

W trzecim akcie najsłabszym co do muzyki, spotykamy się najprzód z mazurkiem Zosi, który, przyznać musimy, o wiele niższéj wartości od innych numerów, zdaje się dopiero późniejszą wkładką, a może wcale nie kompozycyi Kurpińskiego. Operę kończy piękny chór o zgodzie, który niestety rzadko bywa dobrze wykonywanym.

Kiedy pomyślimy, że muzyka Kurpińskiego przez trzydzieści przeszło lat słuchana dotąd nie nuży, a nawet ciągle zachwyca, już w téj świeżości odkryć powinnibyśmy cechę arcydzieła, tymczasem dotąd nikt się nie znalazł, któryby tém mianem ochrzcił muzykę Kurpińskiego. Smutno to dosyć, ale tak to zwykle bywa.

Przypominamy sobie tylko, że przy przedstawieniu téj opery w Wiedniu (1856 r.), muzycy tamtejsi byli pełni podziwu dla téj bogatéj oryginalnéj klasycznéj prawdziwie partycyi, oddając hołd przynależny jéj kompozytorowi i mieszcząc go pomiędzy najznakomitszymi.

Tak stała muzyka w Polsce, kiedy wstąpił w świat muzyczny polski Stanisław Moniuszko. Żałujemy, że biografia jego niejest nam dotąd dostatecznie znana, aby ją w całości podać czytelniczkom, co jednak o nim wiemy, będziemy się starali skreślić. (Ciąg d. nast).

KOBIETA

(podług Bogumiła Goltza).

(Ciąg dalszy.)

Z powyższego określenia wynika, że kobieta folgując sympatjom i wrażeniom chwili, skłania się zwykle do okoliczności, sytuacje porywają za sobą, nieraz wbrew poznaniu i woli. Dla tego potrzebuje krępować swoje upodobania formą, ceremoniałem — dla tego jest tak baczną na drobiazgowe nawet formalności. Używa tego niby tarczy, ochraniającéj jéj spokój — niby broni przeciwko saméj sobie. Przeciwnie mężczyzna w codzienném pożyciu jest mniéj żenowany, swobodniejszy, zajęty więcéj treścią, mniéj uważa na formę, na drobiazgi. Na straży jego namiętności zamiast reguł przyzwoitości, stoi rozum.

Dopiero stan matki (mówi Goltz) stawia kobietę na równém mężczyznie stanowisku obywatelskiém i obyczajowém.

Różnica kobiety i mężczyzny uwydatnia się może najwięcéj w sprawach sercowych. Natura kobiety w tym względzie jest nierozdzielna — ona się cała oddaje miłości, to wypełnia całą jéj istność; gdy przeciwnie mężczyzna przynosi tu tylko cząstkę siebie, tam zmysłową, tu duchową, bardzo rzadko żeby się zaangażował całym sobą, duszą i ciałem, zapominając o reszcie. Z téj rozdzielności natury mezkiéj, z tego, że tak powiem: „zaasekurowania boków“, wynika téż, że daleko łatwiéj jest mężczyznie jak kobiecie wycofać się i podźwignąć z upadku. Niech się pewne struny duszy kobiecéj zerwą, to ją złamie i całe jéj życie zatruje. Mężczyzni w ogóle nie mają takich „Achillesowych pięt“.

W dalszych uwagach surowy p. Golz sam ze sobą często w sprzeczność wpada. I tak odmawia kobietom zmysłu do techniki, precyzyi, ścisłości dla tego, że uwagę swoją zbytecznie i nagle rozstrzeliwają; gdy przecież sama natura kobiet, codzienne doświadczenie, żmudne i subtelne roboty kobiece, znana ich cierpliwość, zadają kłam temu twierdzeniu. Równą sprzeczność z przytoczoném twierdzeniem, że kobiety są uszlachetnioną przyrodą; że u nich wszystko płynie a niema *stoccato*, popełnia Golz, odmawiając im zmysłu do komfortu, do szyku w obszerniejszém znaczeniu. Jest to niedorzeczność, bo któż nie zna mistrzostwa kobiet pod tym względem? Z najlichszéj izby potrafi ich czarodziejska ręka zrobić cacko, byle tylko miały jakie-takie środki po temu; któż im wyrówna w przyjmowaniu towarzystwa, w utrzymaniu go przy swobodnym humorze, w zarządzeniu żeby w całém przyjęciu nie było znać pośpiechu lub zakłopotania. A nawet przy zajściach, nieporozumieniach jedynie zręczne wzięcie się i pośrednictwo kobiety umie zażegnać burze. W ogóle ów szósty zmysł Liebelta, posiadają prawie wyłącznie tylko kobiety. Niby na usprawiedliwienie swoje powiada Goltz złośliwie, że zajmuje się mniéj tém, czém kobiety przez wychowanie stać się mogą — a przeważniéj tém, czém obecnie są. W istocie o wartości i sposobach wychowania są w dziełku jego tylko luźne wzmianki — jest to może najsłabsza strona jego dziełka.

Wyprawa do fotografa.

(RAMOTKA.)

(Dokończenie.)

— Niech państwo się grupują.

— Co? co? co robią? Ależ zaraz dobrodzieju, my się jeszcze nie przygotowali, trzebaby nam się naradzić.

Wezwano do narady mnie i fotografa.

— Widzi pan dobrodziej — zaczął tatko — bo my się jeszcze nigdy nie fotografowali, więc chcielibyśmy się zaradzić pana, jak najlepiéj byłoby moim pannom: czy w niebieskich, czy w cytrynowych...

— Ależ tatko my nie chcemy w cytrynowych. —

— Ależ moje kochane, to będzie zależeć od tego, jak pan fotograf uzna, bo wyście się jeszcze nigdy nie fotografowały. — No jakże pan sądzi — bo one przywiozły ze sobą i niebieskie, i cytrynowe, i popielate w krateczkę — to jak nam pan radzi? —

— Tak jak panie są teraz ubrane — byłoby najlepiéj. —

— Nie chcemy, nie chcemy. —

— Nie, to być nie może. Dziewczęta dziękować Bogu mają się w co ubrać.

— My by wolały w niebieskich.

— Jakże pan myśli, dobre będą niebieskie? —

— Jak panie sobie życzą.

— Niebieskie, niebieskie — prosiły panny — Maciéj zdejmuj pudła.

Tatko najął na ubieranie pokój gościnny, wpakował do niego panny i pudełka.

— A możeby i mnie wypadało się ogolić — ? — spytał wracając do fotografa — jakoś człowiek obrósł trochę, od niedzieli się nie goliłem — to mówiąc, gładził ręką szorstki nieduży zarost.

— W tak małym formacie to tego znać nie będzie.

— Ale zawsze lepiéj — bo to widzi pan dla pani baronowéj. Ja tu w mig będę. Panny spieszcie się — zagrzmiał jak z tuby pod drzwiami córek i poleciał na miasto ogolić się dla pani baronowéj.

W pół godziny potém tatko wrócił, ale na panny z godzinę jeszcze trzeba było czekać, bo niedość, że się wystroić musiały, ale każda jeszcze studyjowała przed zwierciadłem po kilkadziesiąt razy, jakby się tu najlepiéj wydać. Wreszcie wysypały się na podwórze w niebieskich sukienkach.

— No, teraz nas pan ustaw, bo my się jeszcze nigdy nie fotografowali — zaczął znowu papa.

— A baranek? — zawołała Tyńcia.

— A Nero? — Magdusi jeszcze niema! — dodała

— Jakto, panie by chciały ze zwierzętami? — zapytał fotograf zadziwiony.

— Tylko z barankiem.

— I z Nerusiem.

— Ależ to panie łaskawe jest niepodobieństwem fotografować taką menażeryję.

— Co pan pod menażeryją rozumie? — spytała obrażona Mincia.

— No psa i baranka; trudno utrzymać je w spokoju, fotografija udać się nie może.

Z mozołem zdołał wyperswadować pannom ich zachcenia — zgodziły się wreszcie na ustępstwo lubo nie bez kwasów.

— No, niech nas pan dobrodziéj ustawia jak uważa najlepiéj, bo my się jeszcze nigdy nie fotografowali. Czy mam stać, czy usiąść?

— Niech pan dobrodziéj lepiéj siada.

— A jakże, bokiem czy przodem, bo widzi pan ja się jeszcze nigdy...

— Jak panu dogodniéj — tak jak teraz — rękę zgiąć. —

— Ale którą? bo widzi pan ja się jeszcze —

— Można tę albo tę — mówił fotograf zginając w łokciach rękę pana Kalasantego i wrócił do kamery i schował się pod płachtę czarną.

— Ależ nie potrzeba obydwóch rąk zginać, niech pan jednę opuści. —

— A którą, bo widzi pan, ja się nigdy jeszcze nie fotografowałem. —

Fotograf widocznie się niecierpliwił, wrócił i wyprostował mu jedną rękę — potém wziął się do panien. Tu było mu trudniéj, znalazł opozycyją. Panny bowiem dawno już wystudyjowawszy wady i zalety swych twarzy i figur, nie chciały poddać się radom fotografa. I tak Bincia, mająca nosek zadarty, żadną miarą nie chciała się dać nakłonić do podniesienia głowy. — Tyńcia szerokie nieco usteczka zesznurowała jak ściągany woreczek, Mińcia mając rączkę ładniejszą od twarzy, podparła się i zasłoniła tą rączką twarz całą. Próżno fotograf prosił, odradzał, poprawiał, ledwie odszedł, panny wracały do dawnych pozycyj, ciągle się krygując, poprawiając. Jeden tylko pan Kalasanty ani drgnął, ani się obejrzał — ułożony przez fotografa, czekał z uszanowaniem i powagą na operacyją.

— Tak, teraz niech państwo swobodniéj nieco odpoczną, niezmieniając pozycyi — za chwilę służę — rzekł fotograf, znikając w ciemnéj komórce.

Córki poczęły znowu robić studyja nad rozmaitemi pozycyjami — tatko ani drgnął, nieruchomy jakby obłożony wizykatoryjami, głosem tylko dawał znaki życia.

— Hipek, co ty tam chrupiesz za uszami?

— Nic tatko — rzekł malec, chowając ciastko do kieszeni.

Pan Kalasanty spojrzał na mnie:

— A możeby i pan z nami? No! Jest jeszcze miejsce — Binciu przysuń się do mnie, to się pan zmieści.

Niewiem czybym się był wymówił przed grzeczno-

ścią pana Kalasantego, gdy na szczęście wyszedł fograf ze szkłem.

— Sza dzieci! — zawołał ostatecznie pan Kalasanty.

— Proszę spokojnie siedzieć.

To było nad siły panieńskie, które od matki Ewy oddziedziczyły chęć przestępowania zakazów. Mińcia nie mogła wytrzymać, żeby nie widzieć jak stoi Tyńcia — i obejrzała się.

— Niech pani będzie łaskawa nie ruszać się — zrobił Bińci uwagę fotograf. — No, odkrywam.

— Na miłość boską nie je...

Nie dokończył pan Kalasanty i kichnął jak z moździerza.

— A! Bóg strzegł, że dość wcześnie. — No, teraz — rzekł chowając chustkę.

Fotograf odkrył szkło. Podczas odbijania, Hipek korzystając z chwili, w której go nikt nie kontroluje, dobył kawał ciasta i zasadził je w usta.

— Już — rzekł fotograf, zamykając szkło — dziękuję.

Panny i tatko odetchnęli głośno, jakby kilka miechów, i rozmawiając o cudach wynalazków tegoczesnych, czekali na wyrok fotografa.

Za chwilę ukazał się.

— No i cóż?

— Nieudana, trzeba powtórzyć. Pani się ruszała — rzekł do Tyńci — a ja prosiłem.

— To nie mnie pan prosił, to mojéj siostry — odparła naiwnie Tyńcia.

Powtórzono jeszcze parę razy odbicie — aż wreszcie wypadł wyrok: udało się.

— I na kiedyż będą panie łaskawy? —

— Za trzy dni.

Pan Kalasanty zadatkował podług żądania fotografa— Za trzy dni stawił się na termin, a z nim córki i ja.

— No, są fotografie?

— Służę państwu.

Zaczęły się oglądania. —

Tatko zobaczywszy swój konterfekt, rozśmiał się serdecznie z uciechy, inaczéj rzecz się miała z córkami — z wzrastającém zdumieniem i nieukontentowaniem oglądały fotografije — poczęły się szepty.

— Cóż ty na to Tyńciu? —

Tyńcia ruszyła ramionami.

— My miały niebieskie, proszę taty — a tu białe.

— Prawda? —

— A twarze czarne, przecież my takich nie mamy dzięki Bogu.

— Proszę pana — ozwała się najśmielsza Tyńcia — czy to mam być ja? —

— Bezwątpienia.

— Ależ to szkarada jakaś.

— To już nie ja winnien pani dobrodziejko — odrzekł fotograf uśmiechając się złośliwie.

— A ciekawam kto?

— Ja — rzekł papa, — bo trzeba was było kazać robić w większym formacie.

Nie Stańczyk.

KORESPONDENCYJE.

Wiedeń 14 października.

Z serdeczną radością powitałam wiadomość o wydawnictwie „Kaliny“, jako pisma poświęconego kobietom. — W naszém stuleciu ruchy tak szybkie odbywają się na polu politycznêm i umysłowém, ludzkość tak przyspiesznym krokiem dąży do celu wspaniałego cywilizacyi ogólnéj na zasadach najobszerniejszych, że i nam kobietom nie godzi się wyłączać od pracy, i przypatrywać się obojętném okiem podczas gdy drudzy się mozolą. A wszakże Polki nasze od dawien dawna słyną z tego, że szczérze i ochoczo, z sercem pełném zapału i poświęcenia obejmują sprawy ojczyste i sprawy ludzkości; że mają pojęcie bystre dla owych celów humanitarnych, których źródłem niewyczerpaném jest chrystyjanizm!

Niechże w chwili obecnéj, kiedy godłem ogólném jest praca — praca uczciwa w każdym zawodzie — popracują szczérze nad sobą, niechaj popracują i dla drugich, a szczególniéj niechaj wesprą słowem i czynem te kobiety, dla których praca nie jest środkiem tylko wydoskonalenia własnego i postępu moralnego, lecz dla których praca jest gorzką — ciężką koniecznością.

Prawda to jest niezaprzeczona, i aż do przesycenia nam wiadoma, że zakres domowy jest najwłaściwszém polem działalności kobiecéj, że na ognisku domowém wskrzeszaném bywa owo ciepło dobroczynne, rozwijające wszelkie zarody cnoty i piękna w ludzkości; lecz jak powiada pismo święte: „wielu jest powołanych a mało wybranych“.

Grono tych istot wybranych, które na łonie rodziny pędzą życie szczęśliwe i pieszczone, poświęcone li tylko obowiązkom córki, żony lub matki, jest szczupłém w porównaniu z wielką liczbą kobiet powołanych zapracować w pocie czoła na kawałek chleba dla siebie i swoich; — a wszak i to nam wiadome do sytości, jak lichy owoc przynosi praca kobieca, czy to ręczna, czy umysłowa.

W całéj prawie Europie cywilizowanéj tworzą się obecnie stowarzyszenia w celu wsparcia pracy kobiecéj i otworzenia nowych źródeł zarobkowania dla kobiet. W Anglii, która pod tym względem stoi na czele, we Francyi, Belgii, Szwajcaryi kobiety pełnią służbę na kolejach przy telegrafach, pracują w drukarniach itp. W Niemczech również coraz więcéj rozszerzają się podobne stowarzyszenia, a nawet tutaj we Wiedniu „Sto-

warzyszenie kobiet w celu ułatwienia zarobkowania niewieściego" jest w zarodku. Powiadam że jest w zarodzie, gdyż jeszcze rzeczywiście w życie nie weszło i nie rozpoczęło dotąd czynności swojéj.

Doktor Schrank, tutejszy radzca gminny, myśl tę pierwszy wzniecił. Ogłosił on w marcu tego roku odczyt: „O zdolności zarobkowania kobiet". Mowa jego była bardzo piękną i odpowiednią celowi. Odrzucając myśl o emancypacyi kobiet, jako wybujałość wyobraźni ludzkiéj, wskazuje on jednak konieczność pracy, i że konieczność ta coraz bardziéj staje się naglącą, jeżeli byt rodzin ma być zabezpieczonym, że dla kobiet trzeba otworzyć nowe źródła pracy, odpowiedniejsze i lepiéj popłacające; że one pracą swoją nie uszczuplą wcale pola czynności męzkiéj, lecz owszem przyczynią się niezawodnie do podźwignienia dobrego bytu ogólnego. Dr. Schrank niemiał licznych słuchaczów, lecz kilka dam właśnie obecnych zebrało się i uformowało stowarzyszenie, na którego czele jako przełożona, stoi pani Laube, żona cenionego autora i dyrektora nadwornego teatru dramatycznego w Burgu; do wydziału należy również panna Betty Paoli, zasłużona autorka, która bardzo piękny felieton w tym celu napisała do dziennika „Neue freie Presse".

Zawiązawszy się na wiosnę towarzystwo dam dotychczas nie rozpoczęło czynności swoich, bo częścią wypadki wojenne zajęły wszystkie umysły, częścią to było na zawadzie, że publiczność tutejsza lepszych stanów wiosnę i lato do późnéj jesieni spędza na wsi w okolicy Wiednia.

Statuta zostały już potwierdzone przez rząd krajowy, a 17go października zwołaném będzie posiedzenie ogólne, na którém mają się uskutecznić nowe wybory, i nastąpią obrady o środkach najpraktyczniejszych i najodpowiedniejszych celowi. Należąc do stowarzyszenia, nieomieszkam w czasie właściwym zawiadomić was o skutku obradowania, sądząc, że to czytelniczki wasze zapewne zajmie. *)

Kończąc na dzisiaj korespondencyą moją, życzę „Kalinie" najlepszego powodzenia, niechaj świeżo i uroczo zakwitnie dla publiczności, i niechaj ziarno prawdy i postępu, jakie w niéj szanowna redakcyjo zasiejecie, bujnym plonem się rozrośnie na niwie literatury ojczystéj dla pożytku powszechnego. M.

*) Statuta stowarzyszenia kobiet wymienione w korespondencyi, zamieścimy później. (Przyp. red.)

TEATR. Z początkiem tego miesiąca rozpoczęły się przedstawienia teatru polskiego. W ciągu tych kilku dni słyszeliśmy dwie nowe komedyje, jest to miłą zapowiedzią gorliwości dyrekcyi. Oby tylko wybór był szczęśliwy. Dowiadujemy się także, że w ciągu tego kursu zimowego zobaczymy na scenie naszéj komedyje „Shakespeare'a", nieznane naszéj publiczności, jak również „Kupca Weneckiego". Jakkolwiek recenzent o teatrze w „Przeglądzie Polskim" wyraził obawę, aby dyrekcyja nie zechciała przedstawiać sztuk, którymby artyści nasi podołać nie mogli, my cieszymy się tą zapowiedzią. W jakiż bowiem sposób artyści mogą rozwijać i wykształcać swe zdolności dramatyczne — jeżeli dramatów grać nie będą? Potrzeba tylko, o czém recenzent jak również dyrekcyja zdaje się zapominać — dobrego kierownika scenie naszéj. — W początku było ich aż dwóch: pp. Jasiński i Swieszewski. Nie wchodzimy w to jakimi oni byli, pomijamy zarzut jednostronności, w jakiéj rozwijali scenę naszą — dość, że coś było. Teraz o ile wiemy, niema nikogo. Trudno, aby aktorowie puszczeni luzem, zostawieni własnym siłom, własnemu sprytowi i upodobaniom, mogli iść naprzód. Wielki talent poradzi sobie w tém bezkrólewiu — mierny zmarnieje, idąc za własnym często złym instynktem i niedość wykształconym smakiem publiczności, zejdzie na prowincyjonalnego komedyjanta. Przykładów tego u nas nie brak. Dyrekcyja powinnaby zwrócić większą niż dotąd uwagę na ten punkt.

Czeka nas także inna niespodzianka: opera polska. Nie wiemy z jak wielkiemi rozpocznie się ona siłami i zasobami, cieszy nas jednak choćby skromny zawiązek, który przy gorliwości dyrekcyi i współudziale publiczności, bardzo z czasem rozwinąć się może.

Dla publiczności szczególniéj zamiejscowéj, będziemy umieszczali od czasu do czasu treść nowych utworów scenicznych i ich ocenę.

Dla domowego użytku. Ważna to rzecz w danym razie dla matek wybór środków do karmienia dzieci. Nowa polewka Dr. Liebiga przyrządza się następnie: Bierze się 1 łut mąki pszennéj zwyczajnéj, 1 łut mąki słodowéj (s od jęczmienny zmielony na młynku), $7\frac{1}{2}$ gran dwuwęglanu potażu — co zresztą gotowe w aptece dostać można. Rozrabia się w 2ch łutach zimnéj wody, dodaje 10 łutów mleka i mieszając ciągle, grzeje się na bardzo wolnym ogniu póty, aż zaprawa gęstnieć zacznie. Wtedy odstawia się, rozrabia 5 minut, potém znowu rozgrzewa i zagotuje. Nareszcie cedzi się przez gęste sito, aby otrąbki od mleka oddzielić i polewka gotowa. Stósownie do wieku i przyzwyczajenia dzieci rozczynia się wodą. Postępowania opisanego przy gotowaniu, należy się ściśle trzymać, zależy bowiem od tego chemiczny skład polewki i jéj strawność.

— **Nowy środek tępienia szczurów**, nieszkodliwy dla innych zwierząt, przyrządza się w ten sposób: Miesza się żółć wołowa z olejkiem bursztynowym w równych częściach i rozrabia na ciasto z krupami jęczmiennemi i mąką. Gałki z tego ciasta zjadają szczury chciwie, poczém pali ich pragnienie, tak, że nastawioną wodę piją póki nie zdechną.

—— Dla ucznia **C.** odebraliśmy od Y². 1 złr. w. a.; od pani Lud. Hawel 2 złr. w. a.; od p. Polityńskiéj 3 złr. w. a. Razem sześć złr. w. a., które już doręczono za pokwitowaniem, złożoném w redakcyi.

☛ Do dzisiejszego numeru dołącza się dla prenumerujących nuty: „Sonet W. Shakespeare'a", śpiew z towarzyszeniem fortepianu, przez St. Dunieckiego.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Tadeusz Wojciechowski.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. 1866.